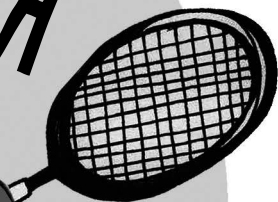
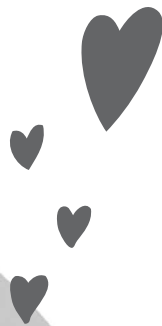


NA PRZYKŁAD  
MAŁGOŚKA



PAWEŁ  
BERĘSEWICZ



Paweł Beręsewicz  
**Na przykład Małgośka**

© by Paweł Beręsewicz  
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:  
Olga Reszelska

Skład i korekta:  
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

**Wydanie IV**

**ISBN 978-83-7672-206-1**

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2016  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wyd-literatura.com.pl  
tel. (42) 630 23 81  
faks (42) 632 30 24  
www.wyd-literatura.com.pl

# PAKOWANIE

## Rozdział 1



– Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... o, o, tylko pięć par! – powiedział sam do siebie Robert, pakując do podróźnej torby ostatnie czyste majtki.

Tak naprawdę na półce zostały jeszcze dwie pary, ale były na nich wesołe żółte miśki, a przecież mężczyznom w pewnym wieku niektóre wzory na bieliźnie stanowczo nie przystoją. Robertowi miśki nie pasowały już od ponad dwóch lat, natomiast czarno-białe piłki i czerwone ferrari jeszcze nie przestały pasować. Na tej podstawie możemy w pewnym przybliżeniu określić wiek Roberta na lat dziesięć i pół.

– Wziąłeś dosyć majtek? – doleciał z dołu czujny głos mamy, a tata prawie natychmiast powiedział:

– Daj mu już spokój. Co to, gaci sobie nie umie policzyć?

– Wziąłem, wziąłem! – zapewnił z góry Robert.

Obóz tenisowy miał co prawda trwać dwanaście dni i tak na pierwszy rzut oka majtek mogło być trochę przy mało, ale Robert, jako urodzony optymistą wierzył, że może jednak jakoś wystarczy.

– To ile masz par? – drażyla niezrażona mama, a tata tym razem tylko mruknął coś pod nosem.

– Starczy! – odkrzyknął Robert.

– To znaczy ile?

– W sam raz!

– Ile?!

– Pięć! – burknął w końcu zrezygnowanym głosem.

– Rany boskie! – zawołała przerażona mama. – Pięć par majtek na cały obóz? Czy ty masz dobrze w głowie? No i co?! – To ostatnie już było do taty. – Widzisz, jak to jest? A ciebie to nic nie obchodzi! Dla ciebie to on by mógł nawet bez majtek pojechać!

– Raz by pojechał bez majtek, to by się nauczył rozumu – mruknął obojętnie tata, co strasznie rozsierdziło mamę.

– Tobie się po prostu nie chce ruszyć i zainteresować! – powiedziała ze złością. – Jak ja czegoś nie dopilnuję, to...

Tu nastąpiła długa gniewna wymiana zdań i ktoś obcy zdziwiłby się pewnie, ile gorących emocji mogą budzić zwykłe skarpetki i majtki. Jednak Robert nie był obcy i w ogóle go to nie dziwiło. Dziś były skarpetki i majtki, wczoraj samochód i nieumyta szklanka, a kiedy indziej najnowsza książka jakiegoś „-skiego” czy „-icza”. Robert nie miał pewności, ale czuł w głębi duszy, że w tych głośnych rozmowach słowa nie miały znaczenia. Gdzieś pod nimi kryły się dziwne smutki i zale, może tęsknota za czymś, co było i zgasło, albo nie zgasło, tylko przygasło i już nie daje tyle ciepła, co kiedyś.

Robert westchnął ciężko i zszedł na dół. Na suszarce w ogródku schły majtki, kolorowe koszulki i cała reszta. Skompletował bieliznę, zdjął ze sznurka skarpetki i wrócił do pokoju. Tam wrzucił wszystko do torby i mocno uklepał.

– Mam skarpetki! – krzyknął.

Rodzice już stygli po rozmowie. Mama w milczeniu prasowała koszule, a tata zmieniał owijkę na rączce rakiety tenisowej syna. Robert z hukiem zbiegł po schodach i oświadczył z podstępą miną:

– Wziąłem dwa razy więcej niż jest dni na obozie!

– Czego? Skarpetek? – zdziwiła się mama. – A po co aż tyle?

– Przecież noszę dwie naraz! – oznajmił triumfalnie, zadowolony, że dali się nabrać.

Oboje rodzice chcąc nie chcąc rozluźnili napięte mięśnie i uśmiechnęli się bezradnie. Ich ręce podniosły się jednocześnie i na chwilę spotkały na ciemnej, krótko przyciętej czuprynie.

– Nie wiem, czy dobrze, że się zgodziłem na ten cały obóz – powiedział Robert trochę wesoło, a trochę poważnie. – Jeszcze nigdy nie zostawaliście tak długo sami. A co będzie, jak się dokumentnie pokłócicie?

Przez chwilę wydało mu się, że tata trochę się zaczerwienił, a mama nerwowo przygładziła włosy. Popatrzyli na siebie niepewnie, a potem tata wziął ich oboje za ręce i pociągnął w stronę kanapy. Z impetem wpadli w mięk-

kie poduchy, aż na krótką chwilę wyleciało w powietrze sześć nóg o różnej długości.

– Synu! – uroczyście rozpoczął tata, kiedy się już umościł i znieruchomieli. – Nie umiesz jeszcze liczyć majtek, ale poza tym jesteś już całkiem dużym chłopem. Musimy poważnie porozmawiać.

– Trudno – zgodził się Robert.

– Jak zauważyłeś, zdarza nam się z mamą trochę posprzeczać – mówił dalej tata, a Robert prychnął złośliwie:

– Trochę!

– Nie przerywaj, kiedy ojciec mówi! – burknął tata, ale nie zabrzmiało to szczególnie groźnie. – Otóż czasami się z mamą sprzecząmy – ciągnął. – Czasem różne rzeczy nas denerwują. Czasami nie możemy się dogadać. Nie wszystko nam się udało, tak jak kiedyś planowaliśmy, ale jest jedna rzecz, która wyszła nam całkiem, całkiem.

– Jaka? – zapytał Robert, robiąc przy tym rozkosznie głupiutką minę.

Doskonale wiedział, co to za rzecz, i czekał na odpowiedź jak kot na drapanie za uchem.

– Synek nam się całkiem udał. Prawda, kochanie? – tata uśmiechnął się do mamy.

– Prawda – powiedziała mama. – Synek jest nie najgorszy.

Nad głową Roberta, który siedział pośrodku, coś cicho cmoknęło, a on sam został na chwilę przyjemnie ściśnięty.

– Myślę, synu, że możesz jechać – dodał tata. – Jakoś sobie z mamą poradzimy. W ostateczności mamy numer twojej komórki.

Potem zaczęły się żarty i wesołe przepychanki. Przyjemnie było być całkiem udanym malutkim syneczkiem mamy i taty. Robert pomyślał, że mógłby tak sobie siedzieć do końca życia, zamiast jechać na jakiś głupi obóz, gdzie trzeba być przez cały czas dorosłym, bez szans na odpoczynek w krainie bezradnych bobasków... To była smutna myśl i coś się od niej działo z oczami.

– Tylko pamiętaj, żeby się porządnie myć – podejrzanie cicho powiedziała mama.

Jakaś wstrętna niewidzialna ręka ścisnęła Roberta za gardło.

# OSTATNIE ŚNIADANIE

## Rozdział 2

Następny dzień wstał roześmiany i rozświergotany. Słońce nie zaczęło jeszcze prażyć i tylko puszczało wesole światłne zajączki kropelkami porannej rosy. Był właśnie ten cudowny moment między pierwszym a drugim miesiącem wakacji, kiedy nawet ciężko pracujący dorośli czują się lepiej niż zwykle, choć o letnim nieróbstwie mogą najwyżej pomarzyć.

Jednak w domu Roberta jakoś nie czuło się tej spokojnej radości. Nic dziwnego. Robercik – dziecko jedyne, syn ukochany, który dopiero co nauczył się siedzieć, zrobił pierwszy kroczek, stracił mleczny ząbek, poznał alfabet i zdał do czwartej klasy – opuszczał rodzinne gniazdo na całe dwa tygodnie.

Mama wstała bardzo wcześnie i gotowała jajka na twardo.

– Chcesz mu dać jajka? – marudził tata, a mama tłumaczyła, że jak się cały dzień w podróży, to przecież trzeba coś zjeść.



– Zasmrodzi cały autokar i wszystkim podpadnie, jeszcze zanim zdąży się zaprzyjaźnić – upierał się tata i zaczynało być trochę nerwowo.

Nagle z góry dobiegło bezradne wołanie o pomoc:

– Mama, majtek nie mam ani skarpetek!

Cienki głos trząśł się i łamał, bo też trzeba uczciwie przyznać, że nie jest to wesoła sytuacja, kiedy się odkrywa coś takiego godzinę przed wyjazdem na swój pierwszy w życiu obóz.

– Jak to nie masz? – przeraziła się mama. – A co się z nimi stało?

– Kazałaś zapakować!

– A w czym zamierzałeś jechać? – ostro spytał tata.

– Mama kazała zapakować!

Tata westchnął ciężko, wziął kluczyki z koszyka na blacie i wyszedł do samochodu, w którym bagaże Roberta spędziły ostatnią noc przed wyjazdem. Wrócił z majtkami i parą skarpetek.

– Oj, synek, synek! – powiedział, rzucając na górę te kluczowe części garderoby. – Ubieraj się i chodź na śniadanie.

Przy śniadaniu wszyscy bardzo się starali. Robert oświadczył, że już dawno nie jadł takich pysznych bułeczek, mama powiedziała, że zapakowała mu na drogę kanapki, paczkę chipsów i picie, a tata stwierdził:

– No, chłopie, trochę ci zazdroścę, że jedziesz na ten obóz. Na obozach to można fajne dziewczyny poznać.

Robertowi aż ręce opadły.

– Tato! – jęknął. – Ja tam jadę trenować, a nie tracić czas na jakieś głupoty.

Dla podkreślenia swych słów wgrzyzł się z impetem w kanapkę z szynką, jakby to ona była autorką kiepskiego dowcipu.

– Nie no, oczywiście, oczywiście! – czym prędzej zgodził się tata. – Trening to podstawa! Ale ja też, jak jechałem na obóz, to nie planowałem, że poznam mamę.

– Już wcześniej mnie znałeś – mruknęła mama do kubka z kawą, który trzymała w obu dłoniach.

Tata lekceważąco machnął ręką.

– Wcześniej to tylko ledwo, ledwo – powiedział. – Tak naprawdę wszystko zaczęło się na obozie.

Robert w pół gryza przerwał żucie. Zmarszczył z niepokojem brwi i przyjrzał się badawczo obojgu rodzicom.

– Tylko pamiętaj, że myśmy wtedy mieli po siedemnaście lat – trzeźwo przypomniała mama, na co tata znów machnął ręką i stwierdził, że w dzisiejszych czasach dzieci dorastają szybciej niż kiedyś.

– Co się zaczęło na obozie? – przestraszył się Robert.

– Nic takiego – powiedział tata. – Po prostu zobaczyłem, jaka z mamy fajna dziewczyna i tak trochęmy się... jak by to powiedzieć... zaprzyjaźnili.

Robert poczuł, że skóra mu cierpie na karku.

– I co było potem? – zapytał słabym głosem.

– To zależy, jak długo potem – powiedziała mama. – Zaraz potem były spacerunki po parku i wysiadki na ławeczce.

– Godzinami na ławeczce? – Oczy Roberta zrobiły się prawie okrągłe. – Ale po co?

Oboje rodzice niewinnie spuścili wzrok i mama zaczęła dość mętnie tłumaczyć:

– No wiesz, siedziało się... gadało się... patrzyło się na siebie i... takie tam rzeczy.

– No właśnie, takie tam rzeczy – potwierdził tata i można było odnieść wrażenie, że dobrze te rzeczy wspomina.

Przez chwilę oboje wyglądali, jakby przenieśli się w tamte odległe czasy, kiedy nic ich jeszcze w sobie nie denerwowało. Mama jednak szybko się pozbierała i dokończyła rzeczowo:

– Trochę „bardziej potem” wzięliśmy ślub. A jeszcze „bardziej potem” pojawił się pewien młody obywatel, który właśnie po raz pierwszy wyrusza w świat.

Teraz to Robert przeraził się już nie na żarty. Kiedy na wiosnę dostał propozycję wyjazdu na obóz, długo rozważał wszystkie za i przeciw. Uwielbiał grać w tenisa i nieźle mu to wychodziło. Perspektywa dwóch tygodni na korcie była na tyle kusząca, że w bezpośrednim starciu pokonała obawy i lęki. Wtedy jednak nie przyszło mu do głowy, że obóz może mieć aż takie konsekwencje.

– Czy... to był obóz... tenisowy? – wykrztusił.

Na szczęście okazało się, że nie był to obóz tenisowy, tylko taki zwykły obóz, a to całkowicie zmieniało postać rzeczy. Rodzice nie mieli treningów dwa razy dziennie, basenu i boiska pod ręką, ani gameboyów i empetrójek

w plecakach. Musiało być raczej nudno, a z nudów ludziom przychodzą do głowy najprzeróżniejsze pomysły.

– No dobra! Dostyc tych pogaduszek! – rozkazała mama, kończąc rodzinne wspominki. – Jedźmy to śniadanie, bo jeszcze pojedą bez niego.

Robert zastanowił się chwilę i wcale nie był pewien, czy aż tak bardzo by się tym zmartwił.

# NA PARKINGU

## Rozdział 3



Zajechali na parking. Autokar już stał, ale na szczęście nie wolno było jeszcze wsiadać, więc teoretycznie wciąż istniała szansa na najlepsze miejsce. Z obu stron otwarto luki bagażowe, do których tatusiowie pakowali walizki, torby i plecaki obozowiczów. Tatusiowie mieli na twarzach harde uśmiešky, a w głębi serc nieprzyjemne uczucie, jakby właśnie wkładali do bagażnika i dopychali nogą swoje ukochane córeczki i ukochanych synków.

Ukochane córeczki i ukochani synkowie, zbici w hałaśliwe gromadki, przezornie odsuwali się jak najdalej od mam. Woleli nie narażać się na krępujące uwagi typu: „tylko myj codziennie nogi” albo „pamiętaj, że masz słuchać trenerów”, lub co gorsza „gdyby ci było smutno, zawsze możesz zadzwonić”.

Mamy najchętniej dopadłyby do swoich zesłańców i wyprztywały, wypieściły, wycalowały na zapas za całe dwa tygodnie. Wiedziały jednak, że tak nie można. Trzymały się więc dzielnie i pokrzepiały jedna drugą rozmowami w stylu:

- Niech już wreszcie pojedą!
- No, już się nie mogę doczekać tych dwóch tygodni bez bachorów na głowie.
- Szkoda, że tylko dwóch!
- Cóż, lepsze to niż nic.

Robert też trzymał się dzielnie. Stał kilka kroków od zamkniętych drzwi autokaru i próbował rozmawiać z Kubą. Kuba chodził do tej samej szkoły, co Robert – dwudziestki piątki na rogu Majowej i Słodkiej. Też zdał do czwartej klasy, tyle że do „b”. W normalnych warunkach to raczej wykluczałoby bliższe kontakty, ale w tłumie zupełnie obcych twarzy nawet koleś z „b” staje się najbliższą rodziną.

– Wzięłeś empetrójkę? – spytał Robert, żeby zagaić rozmowę, która jakoś niespecjalnie się kleiła.

Kuba patrzył mało przytomnym wzrokiem i w jednostajnym rytmie przesuwał głowę w przód i w tył. Na jego twarzy nie było ani szczęścia, ani nieszczęścia, ani w ogóle nic. W końcu dotarło do niego, że Ziemia próbuje nawiązać kontakt. Odkorkował lewe ucho i spytał bez zbędnego szastania słowami:

- Hę?
- Już nic, już wiem – uśmiechnął się Robert. – Ja też wzięłem. Będziemy se mogli posłuchać, nie? Fajnie będzie na tym obozie, co?

Powrót do rzeczywistości chyba nie zrobił Kubie najlepiej, bo szybko zakorkował lewe ucho, żeby wypłoszyć hukiem niewesołe myśli.

W tym momencie przy wejściu do autokaru zrobił się ruch. Kierowca otworzył drzwi i na pierwszy schodek wskoczył młody, wysportowany mężczyzna z zieloną tekturową teczką w ręce.

– Witam wszystkich bardzo serdecznie! – powiedział rzeczywiście dosyć serdecznie. – Nazywam się Mariusz Zdaniewski. Jestem trenerem tenisa i będę się na obozie opiekował państwa dziećmi.

Czarne wyżełowane włosy pana Mariusza, gładko zaczesane do tyłu, połyskiwały w porannym słońcu, a jego twarz na ich tle wyglądała zaskakująco blado. Głos miał wesoły, ruchy energiczne, a biały T-shirt ściśle przylegał do godnych pozazdrosczenia mięśni.

– Przystojny, co? – szepnęła jedna z mam do jednego z tatów.

Ten jednak tylko wzruszył ramionami i mruknął lekceważąco:

– E tam!

Ale wiele innych mam, choć tego nie szepnęło, miało na temat pana Mariusza bardzo podobne zdanie. Coś w tym musiało być.

– Widzę tu wiele znajomych twarzy – powiedział, omiatając wzrokiem zebrany tłumek. – Ale mamy też dużo świeżej krwi, co nas oczywiście niezwykle cieszy.

Robert miał wrażenie, że wzrok pana Mariusza na chwilę zatrzymał się na nim. Przez twarz trenera przemknął bardzo, bardzo delikatny skurcz. Mógł to być powitalny uśmiech, nerwowy tik, złowrogi grymas albo po

prostu optyczne złudzenie dziesięciolatka, który najbliższe dwa tygodnie miał spędzić bez mamy i taty. Jednego Robert był prawie pewien – przysięgłby, że mówiąc o świeżej krwi, pan Mariusz o mało się nie oblizał.

– Proszę się nie niepokoić – ciągnął kruczowłosego trener. – Dzieci będą naprawdę w dobrych rękach. A państwu życzę dwóch cudownych bezdzietnych tygodni!

Tłumek zachichotał, a pan Mariusz uśmiechnął się promiennie. Jego wąskie wargi, które z początku kurczowo trzymały się razem, w końcu nie dały rady i rozchyliły się trochę. Wyjrzały spod nich białe jak mleko siekacze, a potem na ułamek sekundy błysnęły kły. Robertowi pani dentystka powiedziała kiedyś, że ma imponujące trójki, ale to, co na mgnienie oka odsłonił uśmiech pana Mariusza, zmroziłoby nawet panią dentystkę!

Lekko zmieszany trener z powrotem naciągnął wargi na swoje rozrośnięte uzębienie i dał uroczyste hasło do zajmowania miejsc w autobusie. W tym momencie w zebranych rodzicach pękła jakaś niewidzialna tama i wszyscy naraz rzucili się na obozowiczów. Zaczęło się gorączkowe żegnanie, ostatnie szeptki i przestrogi, poklepywania po plecach i zapewnienia, że będzie fajnie, na pewno będzie fajnie, naprawdę!

– Tylko pamiętaj, syneczku, żeby brudne rzeczy składać w oddzielnej torebce – powtarzała po raz setny mama Roberta, podczas gdy tata nerwowo targał synowi fryzurę.

– Dobra, pamiętam – mrucał Robert. – A o co chodziło z tą świeżą krwią?



– Że nowe dzieci jadą – powiedziała mama. – Ale zrozumiałeś z tymi brudami, tak?

– A widziałaś, jakie ten facet ma zęby? – szepnął Robert.

– A, à propos zębów! – przypomniała sobie mama. – Wzięłaś szczoteczkę i pastę, prawda?

– Ale moim zdaniem on wygląda jak...

– No dobra, dobra – przerwał tata. – Ten twój kolega już wsiadł. Jak chcesz koło niego siedzieć, to się lepiej pospiesz.

– Tylko wysusz, zanim schowasz do torebki! – zawołała mama, kiedy czerwony plecaczek Roberta zniknął w czarnej czeluści przyciemnianego autokaru.

Połowa miejsc w autobusie była już zajęta, ale obok Kuby nikt jeszcze nie siedział.

– Mogę? – spytał Robert, a Kuba kiwnął głową i zabrał plecaczek z siedzenia.

Nadal był zakorkowany, ale to już chyba przestało pomagać, bo wyglądał jak kupka nieszczęścia.

Robert usiadł i rozejrzał się po wnętrzu autokaru. Tuż za nim siedziały jakieś dziewczyny, a na samym tyle zebrało się wyrośnięte towarzystwo, które najwyraźniej już nie pierwszy raz jechało na obóz.

– Widzieliście? Wampir ma nową ofiarę! – powiedział przyszczyty chłopak wyglądający na początek gimnazjum.

Towarzystwo zagwizdało ze znawstwem, a Robert poczuł na plecach zimny dreszcz strasznych przeczuć. Wampir? – powtórzył w myślach i z niepokojem spojrzął na

przód autobusu w ślad za wyciągniętym paluchem gimnazjalisty o trudnej cerze. W rządzie tuż za kierowcą siedziała młoda, opalona pani z jasnymi związanymi w kucyk włosami. Robert nie znał się jeszcze dobrze na tych sprawach, ale nie mógł wykluczyć, że pani była dość ładna. Utkwiła nieruchome spojrzenie w jakiś punkt gdzieś za oknem i bezwiednie skubała palcami granatową chusteczkę, która zasłaniała jej szyję. Na pustym miejscu obok leżała zielona teczka trenera Mariusza.

W końcu autobus ruszył. Po obu stronach szyb rozpoczęło się energiczne machanie. Mamie i tacie Roberta było trochę przykro, bo ich syn nawet nie spojrzał w ich stronę. Patrzył zupełnie gdzie indziej i wyglądał, jakby bardzo intensywnie nad czymś rozmyślał.

# OŚRODEK BIAŁY KIEŁ

## Rozdział 4

Dojechali na miejsce późnym popołudniem. Mieli za sobą *Harry'ego Pottera* na wideo i trzy przystanki na siusiu. Robert poczynił też kilka interesujących obserwacji, które w dalszej części obozu mogły się okazać pożyteczne. Po pierwsze, odkrył, że Kuba ma ze sobą nie tylko empetrójkę, z którą zresztą wydawał się być trwale zrosnięty, ale również najnowszą konsolę PSP. Po drugie, od starszych chłopaków z tylnych siedzeń dowiedział się, że Wampir, jak najwyraźniej nazywali trenera Mariusza, „ujdzie w tłoku, choć czasem miewa odloty”. Jak dalekie są to odloty i w którą stronę, tego nie udało mu się od nich wyciągnąć, ale ogólnie nie brzmiało to najweselej. Po trzecie, od samego Wampira, który miał krótkie przemówienie przez mikrofon, dowiedział się, że młoda pani z chustką to Ola, studentka AWF-u, druga trenerka i opiekunka dziewczyn.

– Przywitajmy panią Olę oklaskami! – zaproponował Wampir i zaraz rozległ się szelest odkładanych kanapek, a potem uprzejme klaskanie.